

Bożena Karwowska
University of British Columbia

Londyn Stefanii Kossowskiej, czyli „moje miasto w obcym kraju”

Polska powojenna literatura powstająca poza krajem to znakomity obraz tożsamościotwórczej emigracyjnej negocjacji osvajania miejsc, które imigranci z czasem nazwą własnymi, poprzez opis miejsc osiedlania się polskich wygnańców, którzy często z trudem adaptowali się do życia w przestrzeni przechowującej nie ich pamięć. Wygnańcy, których losy nie przeniosły na inne kontynenty, nie musieli się co prawda borykać z problemami niezrozumiałej organizacji przestrzeni miejskiej, jakie opisała Eva Hoffman¹. Niemniej jednak, choć miasta europejskie rozwijały się przeważnie bez wizji i planów na przyszłość, zgodnie z geograficzną rzeźbą terenu, wymaganiami politycznymi i społecznymi, wszystkie je łączyło to, że budowały swoją teraźniejszość na przeszłości, starzały się, stawały się elementem historii, istotnymi miejscami i przestrzenią historycznych narodotwórczych zmian. Będąc dla mieszkańców jednocześnie znanym i oswojonym terenem, i niepoznawalną abstrakcyjną konstrukcją dostępną jedynie poprzez sztukę², przede wszystkim jednak miasta stanowiły przestrzenny zbiór miejsc pamięci, istotny element archiwum narodowej historii. Tłumaczy to, przynajmniej częściowo, powody, dla których po zniszczeniach wojennych odbudowano Warszawę czy Gdańsk. Miasto – szczególnie w polskiej tradycji historyczno-kulturowej

¹ E. Hoffman, *Lost in Translation*, London 1989.

² Por. M. de Certeau, *Wynaleźć codzienność. Sztuki działania*, przeł. K. Thiel-Jeńczuk, Kraków 2008.

– stanowi przestrzeń przechowującą pamięć, określającą tożsamość narodową jego mieszkańców. Dostrzega to, przywykła już do północnoamerykańskiej koncepcji miasta, bohaterka emigracyjnej powieści Ewy Stachniak *Konieczne kłamstwa*. Odwiedzając po latach pobytu w Kanadzie Warszawę, zauważa:

Nic tu nie jest takie jak przed wojną. Każdy skrawek tego miasta, każdy odbudowany dom jest krzykiem oporu, którego echo niesie się aż za Odrę. Niemcy chcieli zniszczyć to miasto. A ono stoi. Przeciw nim. Niepokonane. I nie zapomina³.

Pamięć przechowują więc europejskie miasta na różne sposoby. W tych, które nie starają się odbudowywać swoich zniszczonych zabytków, jak nie odbudowano w Paryżu ani zburzonej Bastylji, ani spalonego Tullerie, miejsca pamięci są obecne symbolicznie, poprzez informację zaznaczającą brak. Niezależnie jednak od specyficznych uwarunkowań i związanych z nimi rozwiązań, miasta Europy zawierają w sobie pamięć historyczną i idee kulturowe związane z narodem, jego ideały niepodległościowe czy demokratyczne⁴.

W sytuacji polskich powojennych wygnańców oczywiście na myśl przychodzi przede wszystkim Londyn, miasto, od którego nazwana została tzw. emigracja londyńska (a w ostatnim okresie również bohaterowie telewizyjnego serialu „Londyńczycy”⁵, poświęconego losom polskich emigrantów w tym mieście). Londyn powojennej emigracji polskiej opisał znakomicie Rafał Habielski w książce *Polski Londyn*⁶, ale z punktu widzenia niniejszych rozważań interesujący jest nie tyle sam opis, ile to, w jaki sposób w przestrzeń miasta i zawartą w niej kulturową pamięć wpisywali się powojenni emigranci. Trzeba tu jednak zauważyć, że emigracja „londyńska” przede wszystkim wpisuje się w „męski” model wygnańczy, gdyż zakłada podążanie drogami wyznaczonymi między innymi przez Mickiewicza w epilogu do *Pana Tadeusza* i nastawiona jest przede wszystkim na wspomnianie przeszłości lub projektowanie przyszłości kraju. Wykluczało to wrastanie w miejsce osiedlenia, które nie tylko uznawano za tymczasowe, ale także za „obce”, stanowiące przystanek fizyczny bardziej niż projektujące jakiegokolwiek role uczuciowe czy intelektualne. Nawet sam fakt mówienia z sympatią o Londynie wielu mieszkających tam Polaków przyjmowało jako wyraz braku patriotyzmu. Jak pisała po dwudziestu latach pobytu w stolicy Anglii Stefania

³ E. Stachniak, *Konieczne kłamstwa*, Warszawa 2004, s. 193.

⁴ P. Nora, *Between Memory and History: Les Lieux de Mémoire* [1984], „Representations”, nr 26, s. 7–25.

⁵ Wyprodukowany przez TVP w 2008 roku.

⁶ R. Habielski, *Polski Londyn*, Wrocław 2000.

Kossowska, „przywiązanie do Londynu uchodzi w oczach większości rodaków niemal za zdradę narodową, za wyparcie się innych przywiązań”⁷.

Za przewodnik po Londynie posłuży tu właśnie cytowana powyżej książka Kossowskiej *Mieszkam w Londynie*, oparta na publikowanych przez nią w londyńskich „Wiadomościach” felietonach poświęconych miastu, w którym skupiła się powojenna emigracja polska w ilości pozwalającej na stworzenie i zaistnienie polskich instytucji społecznych i kulturalnych. Polacy stworzyli więc w kulturowo obcym sobie mieście przestrzeń, która dawała im poczucie narodowej (grupowej) tożsamości, choć negocjacje z tym związane nie były łatwe.

„Po dwudziestu latach należy się jednak zdobyć na odwagę i przyznać do zdrożnego uczucia – tak, nie Warszawa, nie Lwów, nie Śląsk ani Łódź, tylko właśnie Londyn” [s. 311], pisała Stefania Kossowska. Zdając sobie sprawę z kontrowersyjności takiego stwierdzenia, dotyczącej powszechnego nakładania się na siebie idei patriotyzmu i przywiązania do ojczystej lokalnej przestrzeni, dodała, że „[r]zucić kamieniem mają prawo tylko ci, co umieją w swoim uczuciu i wspomnieniach objąć cały swój kraj, ale o takich, choć się za nic nie przyznają, nie łatwo” [s. 312]. Przyglądając się sytuacji powojennych wygnańców, Kossowska nie utożsamiała przywiązania do miejsca z patriotyzmem. Motywowała swoje zdanie następująco:

Każdy gotów się wzruszać miejscem swego dzieciństwa czy dojrzałego życia, ale gdzie ten lwowiak, któremu łyżę się kręć na wspomnienie Poznania, albo mieszkaniec Rzeszowa, który tęskni za Warszawą? Nie mieszajmy patriotyzmu lokalnego z narodowym; to tylko prywatna miłość, wymierzona ilością lat spędzonych właśnie tu a nie gdzie indziej i własnymi przeżyciami, nagromadzonymi w tylu latach [s. 312].

Tak właśnie chciała widzieć swój stosunek do Londynu, jako prywatną miłość, do dzielenia się którą zapraszała w swoich tekstach innych mieszkających w tym mieście rodaków. Kossowska niezwykle celnie zauważa, że pojęcie patriotyzmu związane jest raczej z ideą narodu niż z konkretnym miejscem, choć w jej późniejszych dywagacjach Warszawa staje się miejscem dla Polaków symbolicznym, zarówno jako stolica Polski, jak i miasto, którego historia współgrała z historią wygnańczego pokolenia. Patriotyzm jest dla niej kategorią nadrzędną, istotną dla uprawomocnienia nawet „prywatnej miłości”, stąd pisarka podkreśla, że dla przybywających do Anglii wojennych polskich tułaczy istotne okazały się właśnie patriotycznie motywowane

⁷ S. Kossowska (Big Ben), *Mieszkam w Londynie*, Londyn 1964, s. 311. Wszystkie cytaty w tekście odnoszą się do tego wydania; po zacytowanym fragmencie umieszczam w nawiasie numer strony.

pierwsze wrażenia, które na długo pozostały w pamięci emigrantów. Autorka *Mieszkam w Londynie* wspomina z dumą czerwiec 1940 roku, pisząc:

Właśnie był taki sam letni dzień, zielone trawniki i uprzejme panie częstujące pierwszą herbatą na angielskiej ziemi, a potem stacja londyńska i król z królową czekający na peronie. Ale co tam się chwalić... [s. 311]

Poczucie dumy, silne nawet po upływie dziecięcioleci, przysłania poczucie rozgoryczenia i odrzucenia, które często pojawiało się później w publicystyce i literaturze polskiej emigracji w stosunku do aliantów, uniemożliwiając w znacznym stopniu wypracowanie pozytywnego stosunku do kojarzonej z nimi miejskiej przestrzeni. Nie bez znaczenia jest tu także „kobiecość” angielskiego świata witającego polskich wygnańców. Uprzejme panie i królowa z pewnością nie są aż tak silnie kojarzone z „męską” polityką, której rezultatem była późniejsza marginalizacja Polaków i poczucie zdrady. Kossowska, być może właśnie ze względu na świadomość późniejszych przemian politycznych, powraca do wspomnień przestrzeni Londynu z czasów ważnego dla obu narodów momentu historycznego:

Jakże małe, puste, nieomal prowincjonalne wydaje nam się dzisiaj tamto miasto sprzed dwudziestu lat, wyludnione z wszystkich dzieci i setek tysięcy dorosłych, bez prywatnych samochodów, ciemne, o śmiesznych dzisiaj cenach, z tłumem śpiącym pokotem na stacjach kolejki podziemnej [s. 314].

Pozycję autorki-narratorki wyznacza często podkreślana przez nią świadomość wielopłaszczyznowych różnic, dzięki którym tworzy w swojej opowieści szczeliny pozwalające jej na pozostawanie na marginesie w stosunku do obowiązujących, „oficjalnych” zapisów, zarówno „patriotycznej” polskiej wygnańczej opowieści, jak i powszechnie przyjętej historii miasta. Zaczynają się owe różnice od podkreślania inności przestrzeni, w której znaleźli się powojenni emigranci, od Londynu lat późniejszych, ale także od znanych im wcześniej miejsc, aby rozprzestrzenić się na wiele innych obszarów codziennego życia, przedstawianego przez autorkę zawsze poprzez zestawienia sąsiadujących ze sobą skrajności:

W tym największym na świecie mieście jest miejsce na wszystko. Domy ukryte w ogrodach i huczące doki, mrówczy ruch na ulicach, rzeki samochodów, podniecający blask światła – a obok zielone pola, drzewa, kwiaty w śródmiejskich parkach; najpiękniejsze koncerty – i katarynka na ulicy; najpiękniejsze dzieła sztuki w muzeach – i dzicy malujący swe bohomyzy na bruku [...] potężne statki wpływające w środek miasta – i kąpiel w jeziorze otoczonym najruchliwszymi ulicami; ulice odrażających domków – i nocą, widok srebrnego Parlamentu, zawieszono nad zamgloną rzeką [s. 313].

Różnorodność architektoniczna i kulturowa przekłada się w jej narracji na różnorodność ludzi zamieszkujących przestrzeń miejską i tolerancję dla inności:

Każdy tu może żyć swoim życiem, swoim obyczajem: można, mieszkając w swojej dzielnicy, nigdy nie widzieć Piccadilly Circus, można we wzniosłym Hampsteadzie nie wiedzieć, że istnieje obskurny Lewisham czy inny Peckham, nikt na ulicy nie obejrzy się na widok mężczyzny w spodniczce i o liliowo farbowanych włosach [s. 313].

Typowe dla wygnańczej opowieści sielskie wspomnienia polskiego dzieciństwa⁸ i młodości nie pojawiają się na kartach jej książki choćby dlatego, że celem publikacji było skierowanie czytelniczej uwagi w inną stronę, zapoznanie londyńskich rodaków z miastem, w którym przyszło im żyć, zachęcenie ich do zauważenia, zrozumienia i polubienia tego, co ofiarowuje Londyn, a nie wspomnianie utraconej ojczyzny. Także tułaczy, wojenny okres przywołany jest w kontekście londyńskiego spokoju, zaskakującego dla tych, którzy przybyli do tego miasta „[p]o różnych doświadczeniach w Polsce i Francji” [s. 314]. Kossowska unika prostych porównań i na przekór cytowanym przez nią opiniom Polaków (szczególnie gości z Polski), że Londyn to „takich sto pięćdziesiąt Piotrkowów razem wziętych”, stara się przedstawić im to miasto na jego własnych prawach, jako miasto różne od tych, które już znają.

Powód do takiego zaznajamiania osiadłych tam rodaków z Londynem ma autorka dość oczywisty, choć rzadko publicznie werbalizowany. Jest to bowiem jedyna rzeczywista przestrzeń po/wojennych emigrantów, ta, po której poruszają się codziennie nie tylko dzięki (narodowej czy lokalnej) pamięci i wyobraźni, ale która otacza ich swoim fizycznym istnieniem. Współgra w tym Kossowska ze znacznie późniejszymi obserwacjami Evy Hoffman, która zresztą także po latach mieszkania w Ameryce Północnej przeniosła się do Londynu, co uznała „za rodzaj połowicznego powrotu do Europy”⁹. Swój esej *Poza obczyzną* Hoffman rozpoczyna od słów:

Czy po paru dekadach, jakie upłynęły od momentu, gdy opuściło się rodzinny kraj – lub raczej zostało z niego wyrzuconym – nadal można uważać się za kogoś „na wygnaniu”? Czy nadal można postrzegać siebie jako imigranta? A jeśli nie, to kim się wówczas jest, gdzie odnajduje się samego siebie? Jaka jest własna tożsamość i, by tak rzec, egzystencjalne umiejscowienie?

⁸ Por. B. Karwowska, *Tożsamość postmigracyjna – przypadek (między innymi) Czesława Miłosza*, „Przegląd Humanistyczny” 2005, nr 4, s. 1–12.

⁹ E. Hoffman, *Poza obczyzną*, przeł. T. Bilczewski, „Tygodnik Powszechny”, 26.09.2011.

Co szczególnie ciekawe, Kossowska określa taką motywację dopiero w końcowych partiach książki, a jej rozpoznania związane są z kontaktem z malarstwem, a dokładniej z wystawą obrazów Bellotta, malarza starej Warszawy:

Bellotto spędził w Warszawie 14 lat za panowania Stanisława Augusta i na jego zamówienie malował stolicę dla prywatnych zbiorów królewskich. Ten weneccjanin [...] miał specjalny dar widzenia miejskiego pejzażu [...]; jego obserwacja najdrobniejszych szczegółów zdumiewa; poza architekturą, wiernie skopioną, jest w jego obrazach całe codzienne życie, stroje, przedmioty codziennego użytku, zwierzęta, towary na targu itd., nawet obyczaje [s. 266].

Można jedynie spekulować, czy pisarka widziała paralele pomiędzy swoją sytuacją i własnym opisem Londynu a włoskim malarzem, imigrantem (?), który stał się najsłynniejszym portrecistą starej Warszawy. Rozumiała natomiast, że dla Polaków mieszkających w Londynie wystawa ta miała znaczenie nie tylko estetyczne, ale i uczuciowe. Niemniej jednak zauważa także, że dla nich Warszawa Bellotta jest „równie bliska i równie mało znana jak Warszawa dzisiejsza” [s. 266]. Pytanie przypadkowo spotkanego londyńczyka uświadamia oglądającemu Polakowi, że trudno mu porównać oświeceniowe obrazy stolicy z Warszawą współczesną. Co z dawnych obrazów można odnaleźć we współczesnej Warszawie?

W której współczesnej Warszawie? Jak w złożach geologicznych odsłaniają się jego oczom zagrzebane warstwy jedna nad drugą: Warszawa sprzed wojny, która jest dla niego jedynie rzeczywistość, i Warszawa ruin, i równie nieznaną, nową, trudną do wyobrażenia Warszawą dzisiejszą [s. 267].

I choć pozostały nienaruszone lub raczej pozostały na swoim miejscu okruchy znanej dawnej architektury, jak np. ocalała kolumna Zygmunta, która niby „ratuje wszystko”, to zaraz nasuwa się narratorki niepokojąca myśl:

czy można wiedzieć, co się stało z domem na rogu pl. Zamkowego, tak dobrze zachowanym od czasów Bellotta [...]. Albo jak wygląda ta perspektywa, co zastąpiło ten plac, w co zamienił się ten widok? [s. 267]

Zauważyć warto niejako na marginesie, że w świetle obserwacji de Certeau na temat związku malarstwa z miastem szczególnie ciekawe jest, że to nie okruchy architektury stanowią w opowieści Kossowskiej „świadectwa przeszłości”, ale cudem zachowane obrazy, które „były podobno wielką pomocą dla polskich architektów przy odbudowie Warszawy” [s. 267]. Patrząc

na stare rysunki i obrazy, autorka wie, „że wszystkie informacje o Polsce mają krótką ważność, jednocześnie ze wzruszeniem dziękuje się losowi, że zachował od zniszczenia te niezastąpione świadectwa przeszłości” [s. 267].

Rozrachunek z polską przeszłością autorki i jej sympatią do Londynu nieprzypadkowo następuje dopiero po latach i zapisany zostaje w końcowych partiach książki. Z perspektywy lat sześćdziesiątych Kossowska mogła już zauważyć to – czego prawdopodobnie nie spodziewała się, przybywając w 1940 roku do Anglii – że spędziła w Londynie większość swojego życia, a pobyty we wszystkich innych miastach, z którymi była związana, były bez porównania krótsze:

Czyż można mieć za złe patriotyzm londyński komuś, kto nigdzie nie mieszkał tak długo jak w Londynie, a za sobą ma wszechpolską przeszłość, która go ściślej nie wiązała z żadnym miejscem (Lwów jako miejsce urodzenia, zakopiańskie dzieciństwo i młodość podzieloną między Warszawę i Poznańskie)? [s. 312]

Raz jeszcze warto przywołać tu Evę Hoffman i jej obserwację, że „[t]rudniej poddać analizie tajemnicę przyjazdu niż dramat odjazdu. Łatwiej określić swoją pozycję w relacji do czegoś aniżeli poprzez określone miejsce”. Stąd być może z taką łatwością przyznaje się Kossowska do patriotyczno-sentymentalnych źródeł swojego uczucia do Londynu. „Jest to wieloletnie spłacanie długu wdzięczności” [s. 314] nie tylko za przyjęcie tułających się po Europie polskich uciekinierów, ale przede wszystkim za przyjazną atmosferę panującą w tym mieście. Wspominając początki swojego pobytu w stolicy Wielkiej Brytanii, pisarka odwołuje się do pamięci związanej z wojną, czasu, kiedy razem z innymi znajdującymi się tam Polakami uczestniczyła w życiu miasta na równych prawach z wszystkimi innymi jego mieszkańcami:

Nikt, kto nie znalazł się tutaj w lecie 1940, po klęskach, ucieczkach, panikach, rozpaczy pogrzebionego kontynentu, nie zrozumie, czym stał się dla nas wtedy Londyn, łagodny i przyjacielski, pogodny i zdeterminowany. [...] Huk, ruiny, pożary, gruzy – a tu nic, tylko spokój, uprzejmość, pokrzepiający uśmiech dla przerażonych, filiżanka herbaty dla odkopanych [...] Wobec skromnej odwagi i nieustannej życzliwości wszystkich naokoło, nawet nerwowym przybyszom z kontynentu nie przychodziło do głowy, by się bać [s. 314].

W kontekście polskich przeżyć Kossowska określa życie w wojennym Londynie jako sielankę. Wytlumaczenia takiego stanu szuka natomiast nie w międzynarodowych porównaniach, ale w zniesieniu – przez stan zagrożenia, bombardowania i wojnę – przywilejów społecznych (środowiskowych czy klasowych). Miasto, którego sama istota – zdaniem pisarki – wiąże się z podziałem i segregacją, stało się wtedy przede wszystkim przestrzenią równości:

Może najważniejsze dla mieszkańców Londynu było wtedy przyjemne poczucie idealnej równości społecznej. Nie tylko że wszystkim groziło jednakże niebezpieczeństwo, ale także nikt nie miał się lepiej od drugiego [...], nikt nie mógł sobie sprawić więcej ubrania niż bliźni posiadający tyle samo kuponów, nikt nie miał własnego samochodu, nikt nie mógł zjeść, nawet w najdroższej restauracji posiłku droższego niż za 5 szylingów [s. 314–315].

Kossowska wyraźnie odsłania swój brak złudzeń co do społecznego rozwarstwienia Londynu przed- i powojennego. Pokazuje je, poczynając od londyńskiej wielowarstwowej siatki komunikacyjnej – autobusy, taksówki, pociągi, komunikacja rzeczna:

Pod dnem rzeki, pod kadłubami transoceanicznych statków dudni ruch samochodów, pociągów i pieszy w milowych tunelach z jednego brzegu rzeki na drugi. Gdzieś niedaleko w labiryncie podziemnego miasta krążą po specjalnej linii pociągi pocztowe [s. 13–14].

Kolejne warstwy komunikacyjne miasta, powstające pod ziemią, nadają jego przestrzeni charakter trójwymiarowy, nie tyle jednak rosnąc w górę, ile spychając przemieszczające się masy pod ziemię, pod powierzchnię miasta. Przestrzeń formowana jest także w cyklicznie powracającym czasie; miasto ze swoimi 70 stałymi teatrami, salami koncertowymi i wystawiającymi tam gościnnie zespołami, a także wieloma odwiedzającymi je gośćmi, wydaje się nie zasypiać, choć jednocześnie budzi się do życia już w środku nocy razem ze swoimi targowiskami:

Oślizgły, śmierdzący rybami Billingsgate, pilnowany z wody przez stare, żółkłe łabędzie spalone na odpadkach, Smithfield z mięsem dla 10 milionów ludzi; Spitalfields, jeden z największych i najnowocześniejszych targów na świecie, Covent Garden, główny miejski targ na jarzyny, owoce i kwiaty [s. 14].

Towary zmieniają się w Londynie w pieniądze, i choć skarbcem, w którym przechowywane są najcenniejsze klejnoty, jest Tower, to Kossowska kojarzy to miejsce przede wszystkim z historią. To głównie z centralnie położoną częścią o nazwie „City” wiąże ona wielkomiejski ruch związany z cyklicznością czasu. City to skarbnica bogactw miasta będącego centrum światowego biznesu i banków, których bogactwo przewyższa wartość klejnotów wystawionych na pokaz w Tower. W opisie Kossowskiej City to przestrzeń pełna (charakterystycznych dla jej opisu) sprzeczności, które nadają jej specyficznie dynamiczny i wielowymiarowy charakter:

City, skupione wokół potężnej katedry św. Pawła, jądro Londynu, gdzie każdy krok przypomina o przeszłości, City interesów i przeszłości, nowoczesnego ruchu i historii, Giełdy i Guildhallu, ulicy diamentów i ulicy pracy, sądu Old

Bailey i rzymskich wykopalisk, potężnych domów cechowych i tysięcy obskurnych biur, we dnie huczy i przelewa się rzeką samochodów i milionem ludzi, z tego miliona, który przewija się tędy w ciągu 24 godzin, połowa tu pracuje. Gdy wieczorem wyleje się stąd, by wrócić do domów [...], City zamiera w ciszy opustoszałych ulic i martwych gmachów, w których gdzieś zasypia 5.000 niedostrzeżonych, zagubionych stałych mieszkańców [s. 15].

Londyn w opisie Kossowskiej to przestrzeń zapachów, gwaru i mieniącego się w oczach tłumu, cichnącego i niknącego nocą, aby powtórnie pojawić się rano. To miasto królewskich pałaców i wielkiego rozciągającego się w centrum parku, ogólnie dostępnych muzeów i galerii, bibliotek i sal koncertowych. Przestrzeń centrum znaczone jest tablicami upamiętniającymi wizyty sławnych artystów i postaci światowej polityki, ale także mieszkanką odwiedzających Londyn ludzi, których przynależność narodową autorka bez trudu określa na podstawie ich wyglądu – ubrania, przedmiotów, gestów, zachowania:

Amerykanki w jasnych kapeluszkach i z aparatami na szyi. Hinduski w pięknych sari, Murzyni w rozwianych białych sukniach, weseli Jamajczycy, tysy lama w pomarańczowym stroju, student chiński z grzywką w czarnej pelerynie, jakby zszedł żywcem z ryciny w Victoria and Albert Museum, cały świat, różny, kolorowy, wymieszany na ulicy z angielskim tłumem [s. 17].

Trudno byłoby w narracji Kossowskiej określić, jaką pozycję w tym ulicznym tłumie zajmują jej rodacy, usuwa ich zresztą sama z tej części opowieści, zauważając ogólnie, że: „Można lata chodzić po Londynie, zwiedzać, oglądać, włóczyć się z innymi, ale nigdzie, nigdy nie spotkasz Polaka” [s. 22].

Polacy w opowieści Kossowskiej poruszają się przede wszystkim po oswojonej przez siebie przestrzeni „polskiej dzielnicy”. Owo oswojenie obejmuje również spolszczanie angielskich nazw, a przede wszystkim odmianę angielskich słów zgodnie z arbitralnie wybranymi przez użytkowników paradigmatami polskiej gramatyki.

Gdy mieszka się między Earls Courtem a South Kensingtonem można nie wydawać pieniędzy na autobus. W promieniu mili czy półtora ma się wszystko, co emigrantowi potrzebne do życia: Ognisko i Tazaba, Kombatantów i Lotników, „dziennik” i Marynarzy, Brompton Oratory i Bibliotekę Polską. Sądząc po ilości sklepów i różnych zakładów, dzielnica żyje zasadą „swój do swojego po swoje” [s. 248–249].

Polskie sklepy, usługi, biura, lekarze i dentyści, restauracje i kawiarnie oferują wszystkie potrzebne mieszkańcom polskiej dzielnicy usługi i towary. Kossowska jednak zauważa, że nadmiar „polskiej” oferty gastronomicznej

przekłada się na ograniczenia w kupowaniu polskich książek, co wpływa na sytuację finansową wydawnictw. Konsumpcja znacznie przewyższała popyt na literaturę i sztukę, co Kossowska zauważała też wielokrotnie przy okazji opowieści o londyńskim życiu muzycznym. „Polak chodzi na koncerty tylko w całopalnym akcie patriotycznego uniesienia, a w muzyce uznaje tylko Chopina i «Umarł Maciek, umarł»” [s. 256] – nieco złośliwie komentuje pisarka. Tak więc „polskość” obszaru wyznaczają przede wszystkim język, którym mówią jego mieszkańcy, obecność organizacji społecznych i zawodowych oraz gusta kulinarne rodaków, a nie potrzeby kulturalne, które zastępują różnorodne spotkania towarzyskie, stanowiące zdaniem Kossowskiej główny nurt polskiego życia publicznego w Londynie:

Nie ma na to statystyk, ale biorąc tak na oko, chyba z połowa z czterdziestu tysięcy londyńskich Polaków zamieszkuje dzielnicę kensingtonską, a w każdym razie kręci się w niej w ciągu dnia, robi zakupy, załatwia i spotyka się. Zwłaszcza to, bo „mam się z kimś spotkać”, jest magiczną i tajemniczą formułą polskiego życia publicznego [s. 255].

Z administracyjnego punktu widzenia polska dzielnica znajduje się w części miasta zwanej Kensington. Pisząc o niej, Kossowska zauważa jej zróżnicowany skład społeczny.

Dzielnica Kensington jest jedynym londyńskim okręgiem miejskim, który ma królewski przywilej – Royal Borough. Jakby tego wyróżnienia jeszcze było mało, po wojnie osiedlili się tu Polacy. [...] Na jednej ulicy w ślicznych, kolorowo tynkowanych stykowych domach mieszkają najbogatsi snobi, a na następnej w kamieniczkach, obsmarowanych na kremowo, gnieźdzą się Hindusi i Murzyni, tędy dzień i noc jadą ciężarówky z południa na północ; o dwa kroki w bok w cichym zaułku żyje się jak na wsi. Ogródek, sklepik, znajomi [s. 247].

Wielokulturowość, opisana wcześniej w stosunku do odwiedzających Londyn gości, jest więc jedną z cech przestrzeni miejskiej, w której zamieszkali Polacy. Określa tę przestrzeń jednak nie tylko łatwy dostęp do koperku, który zdaniem pisarki można kupić w każdym polskim sklepie, ale także, wspomniana już wcześniej, wspólnota językowa, wyznaczająca przestrzeń komunikacyjną. W opisie Kossowskiej bliska jest chyba przestrzeni cybernetycznej współczesnych miast amerykańskich, związanej z rozwojem bezprzewodowej (mobilnej) komunikacji¹⁰.

¹⁰ Por. *Theorizing the City. The New Urban Anthropology Reader*, ed. S.M. Low, New Brunswick and London 1999.

Pisarka zauważa, że porozumiewanie się językiem polskim w przestrzeni publicznej nabiera innego charakteru w dzielnicy polskiej i dzielnicach anglojęzycznych (lub obcojęzycznych). Dla Polaków otoczonych nieznanymi ich języka przechodniami porozumiewanie się w ojczystej mowie na swój sposób unieważniało wspólnotę (czy publiczność) owej przestrzeni, gdyż czuli się z niej wyalienowani, a zatem jednocześnie bezpieczni w słowach i sformułowaniach, które pozostawały ich tajemnicą, tak jakby wypowiedziane były w zamkniętych ścianach domu. To samo poczucie bezpieczeństwa sprawiało jednak, że rozmowy nieostrożnie prowadzone po polsku w polskiej dzielnicy niejednokrotnie rozumiane były przez współtowarzyszy podróży autobusem lub przechodniów, którzy dowiadawali się w ten sposób o cudzych tajemnicach. Dodajmy tu, że jadący autobusem Polacy nie zawsze zauważali, kiedy owe granice miejskiej przestrzeni językowej były przekraczane, i wracając „z miasta”, kontynuowali głośne rozmowy w przekonaniu, że nadal ich współpasażerowie nie rozumieją języka polskiego. Tak więc na przykładzie wielokulturowego miasta Kossowska opisuje zakłócenie przestrzeni językowych – publicznej i prywatnej – charakterystyczne dla współczesnego społeczeństwa posługującego się nowoczesnymi, bezprzewodowymi sposobami komunikacji¹¹.

Kossowska zauważa jeszcze jedno zjawisko charakterystyczne i istotne dla opisu zachowania diaspory (czy grupy) zajmującej niewielką stosunkowo przestrzeń w wielkim mieście – pozostawanie w granicach własnego obszaru i traktowanie reszty miasta jako obszaru obcego, jako terenu niezbyt chętnie podejmowanych wycieczek turystycznych:

Mieszkając stale w największym nawet mieście, zmniejsza się je do granic własnego codziennego życia; ulice, które się stale przemierza, zawsze te same autobusy i sklepy, znajomi przechodnie wytyczają w obcym świecie własne miasteczko, powszednie i dobrze znane [s. 83].

Nie pozostawia pisarka najmniejszej wątpliwości co do wielkomiejskości Londynu, wspominając, że zajmuje on przestrzeń, „która jest większa od razem wziętych sześciu największych miast Anglii i Walii: Liverpoolu, Manchesteru, Bristolu, Leeds, Cardiffu i Swansea” [s. 13], że stanowi stolicę kulturalną i finansową świata i pokazuje, że wychodząc poza granice polskiej dzielnicy, emigranci z mieszkańców przemieniają się w turystów:

¹¹ Por. *Spaces of Culture, City – Nation – World*, ed. M. Featherstone, S. Lash, London 1999.

O kilka pensów droższy bilet autobusowy wywozi nagle prowincjonalnego londyńczyka za granicę. Ogromny plac, fontanny, gołębie, kolumny, muzeum, nieodzowne akcesoria zwiedzanych obcych miast nagle robią z niego turystę, jednego z tysięcy, którzy tu się spotkali zgodnie z programem poznawania miasta [s. 83].

Bycie turystą oznacza zaś, że „Londyn przestaje w jednej chwili być miejscem, gdzie chodzi się do biura, kupuje jarzyny, bierze zastrzyki, sprząta i płaci rachunki, a zmienia się w egzotyczne miasto za granicą” [s. 84].

Kossowska znakomicie opisuje znajdujących się na Trafalgar Square podróżnych z różnych stron świata, nie różnicując ich tym razem pod żadnym względem. Wszyscy oni wyglądają i zachowują się tak samo, nie ma zresztą także wielkiego znaczenia, czy turystą jest się w Londynie czy innym mieście. „Prowincjonalny londyńczyk”

widzi koło siebie postacie idące ciężko w górę, lub ciągnące nogi w dół, przysiadłe na balustradzie, ociężałe, spocone, znużone, i w każdej z nich poznaje siebie, wlokącego się w upale przez wszystkie Prada, Watykany i Luvry [s. 83].

Natomiast wewnątrz muzeum, „jeśli jest się turystą, przebiega się przez sale, ślizgając się po podłodze z pośpiechu, lub ucina się zasłużoną drzemkę na jednej z kanap” [s. 84]. Co zaś do londyńczyków, pisarka dość stanowczo stwierdza, że „[s]tały mieszkaniec Londynu odkłada dokładne poznanie galerii na później, na tę niedościgłą chwilę, w której wolny czas zbiegnie się z ochotą robienia właśnie tego” [s. 84]. Nie dookreślając swojego usytuowania na tej mapie, Kossowska dodaje przy tym, że skoro National Gallery jest „szerokim gestem bogatego kraju otwarta za darmo dla każdego”, to przecież „można by przychodzić tu co dzień [sic! – B.K.] i w tym nieprzebranym bogactwie zawsze odkryć coś nieznanego” [s. 84]. Dostępność sztuki to zresztą stały motyw jej opisów Londynu, poczynając od zabytków miasta, poprzez jego wiele teatrów, muzeów, aż po popularne koncerty BBC Proms (nazwane tak od tworzonej na parterze the Royal Albert Hall przestrzeni odwołującej się do tradycji spacerowania wzdłuż promenady podczas słuchania koncertów), które zawdzięczają popularność zróżnicowanemu repertuariowi, niskim cenom biletów i transmisjom radiowym.

Wydawać by się mogło, że zarówno felietony Kossowskiej, jak i jej książka stanowiąc mają przewodnik po mieście dla takich właśnie mieszkańców-turystów, którzy z galerii i muzeów wychodzą „w obce miasto, cudzoziemski Londyn”, aby wracając do domu, „na końcu pośpiesznej podróży, zastać spokój domowych Hampsteadów, Kensingtonów czy Ealingów” [s. 84]. Na przeszkodzie wyłączenie takiemu traktowaniu książki *Mieszkam w Lon-*

dynie stoi jednak wspomniany już silny związek uczuciowy autorki z miastem jej osiedlenia. Nie jest to zachwyt miastem, jego architekturą, historią i ludźmi. Autorka nie pozostawia złudzeń co do swojego trzeźwego patrzenia na miejską przestrzeń, kiedy pisze, że „jest to miasto brzydkie, brudne, hałaśliwe, niemrawe, za wielkie, prowincjonalne itd., itd.” [s. 312]. Kilka akapitów dalej dodaje:

Londyn jest zbudowany bez planu, ma nieporównanie brzydkie dzielnice podmiejskie, wiele złej architektury, najbardziej niehigieniczny system wyrzucania domowych odpadków, ciężkie od dymu i sadzy powietrze, wieczorem tonie w śmieciach [s. 313].

Książka Kossowskiej to bowiem nie tyle przewodnik po miejscach, ile zapis zmian, których Kossowska i jej współcześni byli świadkami, współuczestniczenia w powojennych przemianach i przebudowach miasta, przez które prześwituje „prywatna miłość, wymierzona ilością lat spędzonych właśnie tu a nie gdzie indziej i własnymi przeżyciami, nagromadzonymi w tylu latach” [s. 312]. W czasie, gdy zmieniało się miasto, przemianom ulegali także obserwujący je polscy emigranci. Pisarka zauważa wszystkie te przemiany:

Trudno było nie darzyć ciepłym uczuciem tego wojennego Londynu, który stał się jakby prywatną własnością tych, co w nim na ten czas próby zostali. Potem powoli się odmieniał, w oczach tych, którzy odmieniali się z nim razem. Na miejscu ruin i staroświeckich domów wyrastały wielopiętrowe, nowoczesne gmachy, w wąskich ulicach wybito szerokie przejazdy, zaczęto pić dobrą kawę w tysiącu dawniej nieistniejących kawiarni, rósł nadmiar ludzi, samochodów, bogactwa [s. 316].

Kossowska pisze zatem o pamięci tego, co było, o tym, jak wyglądało i żyło miasto kiedyś, a także o świadomości towarzyszenia zmianom. Owo towarzyszenie ma charakter demokratyczny, dostępne jest dla każdego mieszkańca (bez różnic związanych choćby z płcią, majątkiem czy rasą) i uzależnione jedynie od chęci uczestniczenia i zmysłu obserwacji:

W naszych oczach kończy się staroświecki Londyn i rodzi nowy, jakiego nie poznałaby nie tylko królowa Wiktoria, ale i ci Polacy, którzy przyjechali tu po wojnie. Zamiast XIX-wiecznych kamienic – szklane drapacze, setki biur, miliony okien [...]. Co chwila sklepy w samym śródmieściu muszą się na gwałt wyprowadzać, bo domy się burzy, aby poszerzyć ulicę [s. 70].

O przemianach dotyczących ludzi Kossowska pisze rzadziej, uciekając od bezpośrednich wypowiedzi na ich temat do problematyki miejskiej.

Przede wszystkim zaś zwraca uwagę na to, że następne pokolenie już nie rozumie sytuacji, w jakiej znaleźli się obecni emigranci w czasie wojny:

Sędziwi weterani emigracji, z wielkim trudem odnajdujemy koło siebie to, cośmy znali w Londynie sprzed 20 lat. Dzieci, które się wtedy rodziły, teraz się żenią, nowe dzieci pytają ciekawie: „kto to był Hitler?“, połowy ludzi z tamtych czasów już nie ma między nami, nawet ulice tak się zmieniły, że nieraz nie wiadomo, czy to to samo miasto [s. 303].

Czas staje się jedną z kluczowych kategorii stosowanych przez Kossowską. Przynosi przecież przemiany miasta, wiąże ludzi z określonym momentem, ale też pozwala na uczestnictwo w przemianach, na zrastanie się historii ludzkiej, jednostkowej, z historią zajmowanej przez człowieka przestrzeni, co jest szczególnie istotne w sytuacji oddalenia, jakby „wyrzucenia” z historii własnego narodu. Może dlatego też podkreśla Kossowska istotność czasu dla budowania związku uczuciowego z miastem, konstatując, że „z Londynem trzeba się poznawać latami, spokojnie, rozważnie, zżywać z jego osobliwościami, przebaczać mu to, co w nim brzydkie, znajdować urok w tym, co odmienne, umieć widzieć to, co piękne” [s. 313].

Uczestniczenie w tych procesach przemian powoduje, że mieszkańcom udaje się zauważyć to, co w mieście stałe i niezmiennie, rozpoznawać „znajomy dźwięk zegara z jasno oświetlonej nad Westminsterem wieży” [s. 316], od nazwy którego Kossowska wzięła swój literacki pseudonim „Big Ben”, a także zdefiniować to, co powoduje, że czują się w Londynie jak w domu, czyli miejscu bezpiecznym i własnym:

Poza wszystkimi swoimi zaletami i wadami, Londyn, bardziej niż każde inne miasto, daje tym, co stale w nim mieszkają, poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Gdzieś na dnie, pod powierzchnią wściekłego, wielkomiejskiego zgiełku bije stały, równy, nieprzyspieszony puls, który można czasem usłyszeć w cichych wiejskich uliczkach w środku miasta, w City, w opustoszałej w niedzielę, za poczeriałymi murami ciężkich wiktoriańskich twierdz solidarności i poszanowania prawa, w niezawodnej życzliwości policjanta, w głosie ptaków, które budzą rano za oknami o krok od gwarnej ulicy [s. 312].

Dość ciekawe jest przy tym, że nie ulegając „wynarodowieniu”, czyli czując się nadal, po 20 latach przebywania w Anglii, przede wszystkim Polką i pisząc o kraju osiedlenia „obcy”, Kossowska o Londynie mówi, że „wie się na pewno, że choć w obcym kraju, to jest własne miasto” [s. 316]. Tym samym na swój sposób odpowiada na zadane znacznie później przez Evę Hoffman w eseju *Poza obczyzną* pytania:

Skoro już nie na wygnaniu, to gdzie? Udzielenie odpowiedzi na to pytanie jest znacznie trudniejsze. Czy przeciwieństwo wygnania definiuje się jako „bycie u siebie w domu”, czy jako „przynależność”? Oba pojęcia wymagają pełniejszego i głębszego rozszyfrowania. U siebie, to znaczy gdzie, wobec jakiego punktu odniesienia?

Sama Eva Hoffman zresztą także dochodzi do podobnych wniosków, choć formułuje je w nieco innym niż Kossowska języku:

Końcowy etap podróży jawi mi się jako „miejsce”, dobre antidotum na ideę narodu. Trudno przyjąć całkowicie nową narodową tożsamość, jeśli część życia i większa część własnej historii toczyła się gdzie indziej – narodowe tożsamości bowiem wiążą się z historią i jej interpretacjami. Można jednak rozwinąć w sobie wyraźne przywiązanie do miejsca, w którym w danej chwili się żyje, które poznaje się poprzez zmysły i ruchy, z którym zaczynają łączyć niezliczone, zwyczajne i niezwykłe, więzy.

Stefania Kossowska's London, or My City in a Foreign Land

Summary

The article deals with the issue of immigrants' assimilation into an urban space which is for them at once alien and their own. Stefania Kossowska's collection of essays from London allows just such a look at the so-called Polish London. It also allows an initiation of a discussion of numerous important issues related to the interaction between the city, history, and cultures of its inhabitants.

